Przyjaciel Ludu.

ROK OSMY. **No. 2.** Leszno, *dnia* 10. *Lipca* 1841.



Szkielety Holbeina.

Pamiątki z Krakowa.

Szkielety Holbeina.

Są chwile w życiu człowieka, gdzie praca staje się ciężarem, gdzie myśli umilkną, jak ptaki w słotnym dniu jesieni, a serce skarzy się, jak zepsute dziecko; — wtenczas gość i przyjaciel stają się natrętami, żarty dotykają jak szyderstwo, a zabawa morduje nas jak praca bezpożyteczna i nudna. — Byłażby to nuda? pomyśliłem sam w sobie. Nie! to niepodobna, — ja nie jestem modną istotą wielkiego świata, nieposiadam majątku, salony nie są dla mnie ojczyzną i światem, a etykieta i moda nie są moimi żywiołami. Z resztą, mając kawałek ołówka i papieru, mieszkając w Krakowie, możnaż się nudzić? — Chyba temu, co nie umie ani czuć, ani myśleć. To jest zapewne tęsknota, nieodgadniona chęć naszego ducha, prosta skarga naszego serca, zwyczajna choroba każdego wieku. — Zdaje się, że w młodości duch żąda zaspokoić wszystkie uczucia, które nim miotają i niepokoją go; żąda drugiéj połowy swojego bytu i tęskni; daléj żąda sławy, roskoszy i złota, i znowu tęskni; nakoniec starzec pragnie lepszego, doskonalszego życia, ulgi cierpień, tęskni i umiera.

A jednak ostatki karnawału spełzły ze śniegiem; potrzeba żałować i pokutę odbywać za te grzechy, które corok bez poprawy popełniać się będzie, na które nawet kalendarz kilka tygodni wyznacza, za które pokutując, powtarzamy, i na przyszły rok znowu tak będzie.

W téj chwili i w tych myślach wszedłem do kościoła Bernardynów; przyznam się, że nie dla posypania popiołem mojéj głowy, i nie dla modlitwy, lecz dla otrzepania z kurzu i pleśni kilku obrazów i wiernego ich odkopiowania. Dziwne sprawiały wrażenie smutne tony organów w mojéj duszy, gdzie jeszcze brzmiały mazurki i i walce. — Stary, olbrzymi obraz, oświecony mrugającém światłem lampy, dodawał posępnego uroku, i wikłał moją uwagę w jego dziwaczne pomysły i kształty, a kilku kamiennych rycerzy drzymali sobie w ciemnych framugach, może już od kilka wieków. Lękałbym się losu antykwaryusza pana Walter-Skotta, lecz ja zbieram tylko pamiątki, tak nowe, jak i stare, mało się troszczę o chronologią, otrząsam z kurzawy i pleśni stare obrazy, sądzę o nich według mojego uczucia, i niedbam o resztę.

Zanim rozpocząłem kopiować główne zarysy obrazu, rozważyłem go w przódy z dokładnością. Obraz tak stary, pędzel tak gruby, a jednak jaka myśl o równości i marności świata, jak dziwne a filozoficzne wyobrażenia; prawdziwe dzieło mistrza. — I cóż ten obraz przedstawia? — Zapusty! — Zapusty w kościele? Tak, zapusty, — ostatki karnawału ludzkiego życia! —

Czytajmy teraz w tych dziwnych scenach, stworzonych pędzlem starego malarza. — Środek obrazu przedstawia salon gotycki, ciemny, jak przeznaczenie człowieka blade świeczników promienie słabo oświecają bawiących się, jak nadzieja w jego życiu. Kościotrupy w rozlicznych grupach tańczą z żyjącymi; przy starym klawikorcie usiadła blada śmierć, a jéj twarde, zimne i zabójcze ręce muszą wydawać dzikie i grobowe tony; szatan wskazuje jéj pazurami niewiem jaką piekielną uwerturę (o czemuż tam nie było Maryi Webera, lub Hofmana), daléj szatany ze skrzydłami nietoperza, w postaciach takich, jakie sobie wyobrażał lud całéj Europy, tworzą liczną orkiestrę. — Czytelniku, ty nie słyszysz tonów, ani muzyki, bo nie widzisz obrazu: ale moja dusza, moje serce słyszy każden ton, każden akkord. Słyszałem dźwięk przenikający, dźwięczny, prawdziwie piekielny, jak dźwięk rubli i złota; słyszałem dzikie akkordy, jak głos rozpaczy; potém miękkie, pieszczone tony, jak śmiechy rozwiozłéj kobiety, i znowu akkordy w smutne rozbijały się jęki, jak jęki zgniecionych ofiar; niekiedy zabrzmiały tony żałobne, chrapliwe i dzikie; odgadłem je: to była skarga powieszonego lub strąconego zdrajcy; nakoniec arcydzieło Mozarta, nieśmiertelne rekwiem zagrzmiało i scichło.

Teraz w przyćmionéj sali patrz na tancerzy; widzisz, jak śmierć kościotrup porywa za rękę w szerokim kapeluszu Kardynała, a jego ekselencya drzy i zdaje się mówić: ja nigdy nie tańcowałem; lecz śmierć prosi go do tarantelli, a on blednie i drzy, bo zimny grób, to nie roskoszne i ciepłe Włochy, a cmentarze, to nie Rzym, ani Tivoli; a śmierć matula, co tak czule przytula, to nie piękna i lubieżna Włoszka. Teraz przypatrz się temu filozofowi w pięknym szlafroku, jak hula strasznego hołubca z kościaną śmiercią; jego pisma nieśmiertelne rozlatują się jak liść jesienny, a on wybladły, nadaremnie wykrzykuje: „non omnis moriar!“ alež bo w ciemnym grobie nie tak wygodnie, jak za piecem ze szklanką piwa, lub fajką knastru. Patrzno na tego szlachcica! śmierć uchwyciła go za pas złotolity, i daléj z nim w tany; ah, jak się szkaradnie skrzywił! a nie bez przyczyny, bo trumna to nie adamaszkowe łoże, glina nie złoto, a robaki nie tak podległe i pokorne, jak poddani; chociaż żyją z ziemi, grzebią w ziemi, i giną w ziemi jak kmiecie, lecz tam nie wolno ich gnieść i męczyć; one mają przywiléj gryść tuczne ciała i skrzepłą krew. A za szlachcicem żołnierz podaje śmierci swoję dłoń w żelaznéj rękawicy, ściska miecz i niezmrużonėm okiem patrzy w jéj ciemne oczodoły; nie lęka się śmierci; lecz mu żal, że musi opuścić kraj, który zasłaniał swojemi piersiami, opuścić go, ażeby spać twardo w mogile; o gdyby chociaż ta mogiła służyć mogła za kopiec graniczny jego ojczyznie, gdziekolwiek, nad czarném mo-

rzem, w karpackiéj lawinie, lub w piaskach baltyckiego morza. Daléj Jezuita ślizga się w strachu pod ciemną balustradą; ale śmierć leci do niego, chwyta go za rękę i prosi do kontradansa, jak wstydliwie kryjącą się panienkę; a zobaczysz tam i piękne damy w balowych strojach; lecz przypomniéj sobie, że na tém tu biednym świecie, dziwnie się jakoś plecie, robak się lęgnie i w bujnym kwiecie. A nakoniec przypatrz się, przypatrz: tam w kącie, przy drzwiach, biedny chłopek stoi w pokornéj postaci; śmierć wzięła go za rękę, a on spokojnie kładzie swoją łopatę na podłodze, kłania się żimnemu kościotrupowi, i z radością patrzy w ciemny dół, bo tam jego dziedzictwo; trzy łokcie ziemi wzdłuż i trzy stopy wszerz; tam go nie przebudzi ani głos ekonoma, ani jego bat, ani prześladowanie pana. Śpij, dobry chłopku; może lepiéj będzie twoim dzieciom!.. A teraz księże Bako, ty, który w twoich pieśniach usiłowałeś śmierć unieśmiertelnić, dzięki ci składam za natchnienie mojéj duszy pomysłami tak wybitnemi o śmierci.

Piękną myśl Autora w rozlicznych naśladowano odmianach i odcieniach. ~~Szyler~~ napisał także balladę, gdzie kościotrupy tańczą na cmentarzu przy blasku księżyca. W Wenecyi znaném jest także taniec szkieletów, nazwany *tańcem makabryjskim*, a gmin powtarza dotąd starą balladę (Macabre), gdzie umarli występują z grobów, i tańczą wśród nagrobków porosłych w piołuny i ślazy; i ja także rozważając ten obraz, poszedłem w szlady Szyllera i księdza Baka i innych, a szelest wiatru, co potrząsał oknami kościoła, dzika samotność, pomimowolnie dyktowały mi następne zwrotki, które skreśliłem przy dogorywającéj kościelnéj lampie na grobowcu jakiegoś rycerza, śpiącego po hucznym karnawale i długim boju z wrogami kraju.

Macabre.

(Taniec szkieletów.)

Hej, pod kaplicę wionęły mgły szare,
Zegary dawno jak północ wybiły,
Skra życia tchnęła w nasze kości stare;
Otwórzmy, bracia, zarosłe mogiły,
Choć na cmentarzu zabawmy się dzieci:
Gwiazdeczki błyszczą i księżyc nam świeci;
Hej pod kaplicą zejdźmy się w około,
Tańczmy, hulajmy po śmierci wesoło.

†

Choć nagie kości z ciała już opadły,
Choć w głowach zgasły tlejące rozumy,
Choć serce dawno złe robaki zjadły,
Jednak tańcujmy! O! szkieletów tłumy
Bez serca, mózgu, lekko skakać przecie,
I nieczuć głazu, co nam karki gniecie;
Hej! pod kaplicą zejdźmy się w około,
Tańczmy, hulajmy, po śmierci wesoło.

†

Na cóż nam ciało? — lepsze kości trupie;
I na cóż rozum, — ten płomyk kłamliwy,
Co zgasł tak prędko w czaszkowéj skorupie,
Jak lampa, któréj zabrakło oliwy.
I ciemniéj nam teraz blady księżyc świeci,
Czemuż nie tańczyć po cmentarzu, dzieci?
Hej! pod kaplicą zejdźmy się w około,
Tańczmy, hulajmy, po śmierci wesoło.

†

Na co nam serce, — na co żyć w obłudzie?
Gniazdo serszeni stoczyły robaki,
Za życia jeszcze gryźli go źli ludzie,
Albo szarpali, jak drapieżne ptaki;
Zamiast miłości namiętność tam spała,
A dziś jak piołun w kości się przelała;
Héj! pod kaplicą zejdźmy się w około,
Tańczmy, hulajmy, po śmierci wesoło.

†

My wyprzedali i dzieci i ziemię,
By tylko hulać w szalonéj ochocie,
By tylko mogło skakać nasze plemie,
Kąpać się długo i w winie i w złocie,
Dziś za to, kiedy księżyc nam zaświeci,
Orszak szkieletów do hulanki leci.
Hej! pod kaplicą zejdźmy się w około,
Tańczmy, hulajmy, po śmierci wesoło.

†

(Dokończenie nastąpi.) E. W.

Ogrody Miklera (1)

Pięknie i chwalebnie byłoby, zebrać widoki pałaców i ogrodów na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, wyryć je na stali, i do sztychów przydawszy opisanie dokładne, zbiór cały (jak to już w Galicyi zrobiono) na wzór angielskich widoków wydać. W wyborze tylko mogłaby zajść trudność; takie mnóstwo pałaców i ogrodów rozrzucone jest po nad rzekami i jeziorami Wołynia, w jarach podolskich i w ukraińskich stepach; tyle zamków odwiecznych przemieniono w angielskie rezydencye, zakrawające kształtem swoim na pałace, albo skromnie domkami wiejskiemi, *cottage* nazwane. Ale gdzie tylko smak wykształcony z położenia miejsca korzystał, gdzie więcéj uderza sztuka, niż bogactwo, gdzie każde drzewo w ogólnym rysunku ogrodu ma swoje miejsce konieczne, tam poznać można rękę jednego mistrza, Miklera.

Pół wieku upłynęło od czasu, jak Mikler do tego kraju zawitał; i od pół wieku z pod jego ręki, jak z pod laski czarnoksiężnika, wyszły najpiękniejsze w kraju ogrody. Niech mi wolno będzie w jubileuszowym roku pożytecznych prac Miklera skreślić historyą jego życia, którego szczegóły przemocą prawie z pamięci skromnego staruszka wydarłem; a to będzie razem historyą ogrodów na Podolu, Wołyniu i Ukrainie.

(1) Podole, Wołyń, Ukraina, obrazy miejsc i czasów przez Alex. Przezdzieckiego. 2 T. Wilno 1841.

Dyonizy Mikler urodził się 15. Sierpnia 1762. roku z Jana Miklera i Nancy M'Kue, (2) w Fairfield, dziedzicznéj majętności swoich rodziców w Irlandyi, niedaleko miasta Athlone, w hrabstwie Roscommen. Pierwsze lata młodości przebył w domu, a w szesnastym roku wstąpił do akademii w Dublinie, gdzie obok nauk zajmował się razem i korrepetytorstwem. Świetne były postępy młodego Miklera, ale szczególnie oddawał się naukom przyrodzonym, historyi naturalnéj i botanice, którym miał późniéj całe życie swoje poświęcić. W ciągu tych nauk akademicznych wybuchnęło krwawe powstanie Katolików w Irlandyi, znane pod nazwiskiem *Whiteboys*, w 1777 roku, i ojciec Miklera w sprawie Irlandczyków zamieszany, skazany został na śmierć przez rząd angielski, i musiał się ratować ucieczką do Prus, gdzie wszedł w służbę wojskową; późniéj przeszedł do wojska polskiego, w którém dosłużył się rangi majora w artylleryi. Syn jego Dyonizy pojechał tymczasem z Dublina do Londynu, jako pejzażysta ogrodowy (projecturer), wykonywający w naturze drzewami i murawą, co malarze ołówkiem lub pędzlem znaczą. Takie były zajęcia jego; i jako pomocnik znajomych z biegłości swojéj artystów, pracował w wielu ogrodach i zwierzyńcach (parks), między innemi u księcia Bedford, w hrabstwie Kent.

Ale za młodu miotała umysłem Miklera namiętność podróżowania, i w 1788. roku, zdawszy eksamen z nauk przyrodzonych, siadł na okręt przeznaczony do żeglugi uczonéj do Indyi zachodnich. Nie dopłynął jednakże daléj, jak do wyspy świętéj Heleny; tam zarażony widokiem umierających z nagłéj choroby kilkunastu towarzyszów swoich, i sam chorobą znękany, opuścił okręt i dni ośmnaście wyzdrowienia i przybycia nowego statku oczekiwał. Znudzony przykrym pobytem na bezludnéj wyspie, nie mógł zgadnąć Mikler, że porucznik od artylleryi, trzymający podówczas garnizon w Walencyi, w lat 27. późniéj, przywiąże do téj wyspy imienia swego nieśmiertelność!

Nakoniec zawinął do świętéj Heleny okręt angielski, wracający z Indyi zachodnich; na nim wrócił Mikler do Londynu, i we właściwym sobie zawodzie pracował najczęściéj przy sławnym Legat, który go polubił naprzód, a późniéj, jako niebezpiecznego współzawodnika, zawiścią prześladował.

W 1790. r. przyjechała do Londynu księżna Izabella Czartoryska, a zamawiając dla siebie do Puław pejzażystę ogrodowego, szukała takiegoż dla księcia Stanisława Poniatowskiego do Korsunia. Mikler wiedział, że ma ojca w wojsku polskiém, i to, obok chęci odbywania podróży, było powodem, że ofiarowane sobie warunki przyjął, i na lat trzy wybrał się do Polski.

Przyjechawszy do Warszawy, ciężkiego doznał zawodu; przed półrokiem bowiem ojciec jego, korzystając z amnestyi angielskiéj, wziął był z wojska odstawkę, i do Irlandyi powrócił. Listy zaginęły gdzieś w drodze, a druga krwawsza jeszcze rewolucya, zbierała się jak chmura piorunowa nad głową starca, i na wieki miała go z synem rozdzielić.

Stanisław August przyjął młodego Miklera łaskawie; kazał mu wyznaczyć pensyą, stołowe pieniądze i mieszkanie, i dalszych rozkazów względem wyjazdu do Korsunia czekać. Półtora roku czekał na wyjazd swój Mikler, i nie doczekał się nigdy, i księcia Stanisława Poniatowskiego nigdy nie widział. Nakoniec przywołany do króla, dowiedział się, że książę Stanisław wyjechał z kraju i już o Korsuniu nie myśli. Ofiarował mu przeto Stanisław August względy i protekcyą królewską, jeżeli zechce w Polsce pozostać; albo pieniądze na drogę, gdyby wolał powrócić do Anglii. Mikler podziękował królowi za łaskę, i oświadczył, że chce do Londynu wracać. Może go dręczyło przeczucie o los ojca; cokolwiek bądź, w krótce był do wyjazdu gotowym.

Ale nie tak łatwo porzucić stolicę, ponętę dobranego towarzystwa, i gościnne progi życzliwych przyjaciół. Na samym wstępie pobytu swego w Warszawie, poznał się był Mikler z Adamem Chreptowiczem, kanclerzycem litewskim, młodzieńcem pełnym zapału do nauk i sztuk pięknych; a nie umiejąc innego języka, jak angielski, mógł z nim rozmawiać w tym języku, mało jeszcze upowszechnionym w Polsce. Młody Chreptowicz poznał Miklera naprzód z szanownym kanclerzem, potém z ciotką swoją, księżną Heleną z Przezdzieckich Radziwiłłową, wojewodziną wileńską, słynącą z wdzięków twarzy i umysłu, z wykształconego smaku i czarodziejskiego powabu w obcowaniu. Księżnéj Helenie i księżnéj Izabelli, a potém trzeciéj jeszcze, niczego nie mógł Mikler odmówić; to też w Arkadyi i Puławach nie jednę myśl szczęśliwą podał i wykonał.

Na wyjezdném uprosił młody Chreptowicz, aby koniecznie ogródek za pałacem kanclerza, na ulicy Długiéj, sposobem angielskim urządził; miała to być dla ojca siurpryza. Daremnie wymawiał się Mikler prędkim wyjazdem i spóźnioną porą (byłoto w Maju): wyjazd musiał ustąpić przyjaźni, a niestósowność pory, nadzwyczajnym staraniom, połączonym z wielkim kosztem. We dwa tygodnie urodził się śliczny angielski ogródek; kanclerz nie mógł się nim nacieszyć, a publiczność warszawska kolejno przychodziła ogród Chreptowicza oglądać.

W tym ogrodzie, gdy o rannéj godzinie Mikler nad nowemi ozdobami pracował, zaszła mu drogę piękna, skromnie ubrana kobieta, i

(2) Czyta się Mac-kue.



Ogród Miklera w Dubnie.

sama rozmowę o botanice wszczęła; i drugiego i trzeciego dnia o téjże godzinie wracała; a ciekawy Anglik od nikogo niemógł się o stanie i nazwisku pięknéj nieznajoméj dowiedzieć. Ale gdy pewnego dnia stanęła przed jego mieszkaniem złocista karéta, z galonowaną liberyą; gdy wezwany do księżnéj Michałowéj Lubomirskiéj, poznał w niéj swoję nieznajomą z ogrodu Chreptowicza, niemógł się oprzeć jéj prośbom, i nie do Anglii już, ale na Wołyń do Dubna pojechał.

Byłoto w 1792. roku; utarczki pod Zieleńcami i Dubienką nie naruszyły spokojności dubieńskiego zamku, i Mikler mógł spokojnie ogród pod miastem, w Palestynie, zakładać. We dwa lata późniéj, Kościuszko, w nieszczęśliwéj bitwie pod Maciejowicami raniony i w niewolę wzięty, prowadzony był w głąb kraju, przez Pohorylec, wioskę pod Dubnem. Wtenczas, przerywając na chwilę wiejskie zatrudnienia swoje, Mikler stawił się przed ranionym wodzem, z polecenia księżnéj Michałowéj Lubomirskiéj, i złożył mu z uszanowaniem ofiarę dość znaczną, z jednakowém sercem daną i przyjętą, a jeńcowi nader potrzebną.

I znowu do ogrodów powrócił; po sąsiedztwie całém rozpostrzeniały się znajomości Miklera, i jego myśli do ozdobienia kraju. Najpierwśi korzystali z nich Czaccy, starosta nowogrodzki Tadeusz w Porycku, strażnikowa koronna z książąt Sanguszków w Boremlu. W 1795. roku, zwiedzając wszystkie zakątki Polesia, znalazł Mikler na prawym brzegu Słucza, około wioski Siedlicy, nieznaną dotąd w Europie roślinę, którą późniéj w ogrodzie botanicznym w Londynie *azalia pontica* nazwano. (3) W 1797

(3) Azalia pontica należy do klassy pentandria, według Linneusza; nie znajduje się nigdzie w Europie, oprócz okolicy mil pięciu na prawym brzegu Słucza; kwitnie żółto pomarańczowym kolorem przy końcu Kwietnia; i wtenczas tak mocny ma zapach, że żadne bydlę ani nierogacizna w blizkości paść się nie może. Korzenie i kwiat, moczone w spirytusie, nadają mu taką moc, iż od jednego kieliszka największy pijak odurzeje. Kwiat azalii suszony przywiózł był prof. Parrot z Syberyi jeszcze w 1792. roku, ale nie samę roślinę.

roku powiózł kilka krzaków azalii do Puław, gdzie ich kilka posadził; za to wyprawił go z resztą książę generał na statku do Gdańska; a wkrótce Mikler po siedmioletniéj niebytności ujrzał się znowu w Londynie, gdzie botaniczny ładunek swój nie bez korzyści spieniężył.

W Londynie spotkał Miklera żal ciężki i radośny wypadek. Tam odebrał wiadomość o śmierci ojca i brata, którzy jednego dnia na wojnie irlandzkiéj, w szeregu powstańców, zginęli. Tam poznał piękną Matyldę Milton, i wkrótce z nią się ożenił. Matylda Milton pochodziła z familii sławnego autora utraconego raju,(4) a babka jéj, pani Milton, mająca wtenczas lat 114, urodziła się w lat dziewięć po śmierci wielkiego poety.

Z młodą żoną powrócił Mikler na Wołyń; niestety! w następnym roku już jéj niebyło; umarła w połogu, zostawując córeczkę stroskanemu mężowi na pociechę. Wtenczas Mikler porzucił pełne goryczy dla siebie strony i odbył podróż na Podole i nad brzegami Dniestru od Chocimia do Raszkowa. Natchnęło go piękne położenie miejsc, które zwiedził; bo w tymże czasie trzy wielkie ogrody na Pobereżu założył, w Batanówce u pana Hieronima Sobańskiego, w Obodówce u pana Michała Sobańskiego, i w Sitkowcach u hrabiego Jarosława Potockiego. Potém powrócił na Wołyń, i zaczęte już ogrody w Mizoczu i Stobyłce u dobrego znajomego, więcéj! u przyjaciela, generała Karwickiego, z właściwym sobie smakiem upiększał. Wtenczas także zajął się Mikler urządzeniem pięknego ogrodu w Krzywinie, w którym jeńcy tureccy, za hetmana Jabłonowskiego jeszcze, wykopali na około dziedzińca kanały.

Od 1801. do 1805. roku widzimy Miklera zawsze czynnym. W Zaborolu u panów Czarneckich, w Chotoniowie u państwa Chołoniewskich, w Kątach u szambelana Olizara, w Woronczynie u autora Luidgardy, szanownego generała Kropińskiego, w Iwańczycach u pana Bystrego, autora popularnéj muzyki do słów: *Te brzóz kilka, ten bieg wody*; w Czerwiszczach u panów Czarneckich, w Horynce i Beresteczku u pani kasztelanowéj trockiéj Platerowéj; wszędzie, to na nowo zakładał ogrody, to dawne przerabiał i upiększał, to szczęśliwą poradą ozdabiał. W tym przeciągu czasu odwiedził na Podolu, przed kilką laty założone przez siebie ogrody i nowe: w Bałabanówce u pana Dulskiego, w Łaszkach u pana Czarneckiego, i w Kodni u pana Korzeniowskiego założył.

W 1805. roku musiał Mikler odbyć podróż do Krakowa, dla odebrania summy tysiąca czerwonych złotych, pożyczonych niegdyś przez ojca niejakiemu panu Narodosławskiemu, a na które ojciec mu był przed lat kilką skrypt odesłał. Podróż ta inny jeszcze ważniejszy skutek miała; ożenił się Mikler z córką Narodosławskiego, i przywiózł żonę do Olszany, wioski w łuckim powiecie, którą w zastawie od pana Bystrego od 1801. roku trzymał, dopóki jéj w 1814. na dziedzictwo nie nabył.

Odtąd już więcéj na miejscu bawiąc, Mikler użyty został przez Tadeusza Czackiego, do urządzenia ogrodu botanicznego w Krzemieńcu, i aż do 1809. roku tém był prawie wyłącznie zajęty. Dawne pamiątki przywięzywały go zawsze do zamku dubieńskiego, w którym teraz książę Kaźimierz Lubomirski, syn księcia Michała, mieszka. Jak niegdyś od Adama Chreptowicza, tak od księcia Kaźimierza teraz doznawał Mikler dowodów nieprzerwanéj życzliwości, a w 1811. r. towarzyszył mu w podróży do Petersburga i do Anglii. Miklera wyprawiał Czacki, kosztem gymnazyum krzemienieckiego, a raczéj swoim, dla zebrania potrzebnych do ogrodu botanicznego roślin i nasion.

Wyjechali w Marcu 1811. roku do Petersburga, a gdy książę Kaźimierz Lubomirski w stolicy doznawał łaskawych względów cesarza Aleksandra, niezmordowany Mikler pojechał do Archangielska i brzegi morza białego zwiedził. Nakoniec razem z księciem wyjechali do Abo, i Finlandyą aż do Torneo przelecieli. Potém przez Stokholm i Mälar i Wenern dostali się do Gottenburga, przed którém miastem cała flota angielska, blokująca porty duńskie, stała. Statek angielski przewiózł podróżnych do Londynu, a po dziesięciu tygodniach pobytu w stolicy i na prowincyi, powrócili przez Gottenburg, Kopenhagen i Stokholm do Petersburga, a ztamtąd do Krzemieńca w Grudniu tegoż samego roku.

Niestety! ledwie rok po téj podróży przeminął, niestało jednego z podróżnych, i tego, czyim kosztem drugi podrózował, i wspólnego ich przyjaciela, a wszyscy trzej byli pierwszymi opiekunami Miklera, do których on był przylgnął całą wdzięcznością czułego serca.

Pierwszy wstąpił do grobu ten książę Kaźimierz Lubomirski, tak szlachetny, tak pięknie wykształcony, wspaniałomyślnego ducha obywatel, poważany od panujących i od rządu, kochany od swoich, szanowany od wszystkich, a którego pamięci nikt jeszcze ani jednego słowa wdzięczności nie poświęcił. Wszystkie pokładane w nim nadzieje śmierć zniszczyła, ale śmierć takich nadziei godna.

Wielu z nas pamięta jeszcze krwawe skutki

Mikler pierwszy także odkrył w lasach podolskich beryki, gatunek głogu, który do wielkości drzewa dochodzi i wybornie służy do ozdobienia ogrodów.

(4) Musiała pochodzić od Krzysztofa Miltona, brata poety, a którego Jakób II. zrobił baronetem i członkiem trybunału skarbowego (Baron of the Excheequer). Autor utraconego raju, zmarły 15. Listopada 1674. roku, zostawił syna, potém młodo zmarłego i trzy córki, z których jedna, pani Clarke, żyła do 1727. roku; wtenczas babka Matyldy Milton miała już lat 44.

wojny francuzkiéj 1812. roku, kiedy gwiazda Napoleona, już zbliżona do zachodu za skałą ś. Heleny, słabo przyświecała nocnemu wyjazdowi cesarza na małych saneczkach ze smorgońskiego dworku.

Nie mieścili się po szpitalach i lazaretach ranni jeńcy z tych narodów: Francuzi, Niemcy, Włoši, Polacy, czasem nawet i zwycięzcy Rossyanie, którzy krwi swojéj na obronę cesarza i ojczyzny nie szczędzili. Do Dubna przywożono ciągle transporta ranionych officerów i żołnierzy. Na tak rozdzierający widok nie przestał książę Kaźimierz na czczém ubolewaniu; za jego staraniem przygotowano lazarety na 7000 rannych; lekarzy ze wszystkich stron sprowadzono do Dubna, i nie ufając nikomu, sam książę czynny dozór sprawował nad losem tylu ranionych, zwyciężonych i zwycięzców. Nie słuchał rady strwożonych o zdrowie jego lekarzy, i niebezpieczną gorączką zarażony, w przeciągu dni ośmiu, w Listopadzie 1812. roku, padł ofiarą rzadkiéj w naszym czasie ludzkości.

W miesiąc po nim umarł generał Karwicki, a 8. Lutego następnego 1813. r., stęskniony za obudwoma Tadeusz Czacki, którego życie i zasługi wszystkim wiadome, każdy sprawiedliwie oceni.

Kto bardziéj nad Miklera uczuł strat tyle? Zamknął się w swojéj Olszanie z początku, a potém znowu mu się przykro zrobiło, i musiał miejsce pobytu na czas jakiś odmienić. W 1814. roku znowu podróż na Podole odbył, i odwiedzając dawne ogrody swoje, nowe w Sewerynowie u pana Orłowskiego, i w Czerniatynie u pana Witosławskiego nakreślił. Potém do swojéj wioski na łono rodziny powrócił, i do 1829. r. wyłącznie Wołyniowi trudy swoje poświęcał. Ileż ogródków po wioskach sąsiadów swoich i znajomych urządził! Przytém dwa wspaniałe ogrody z dziedzińcami założył w Szpanowie i Podłużnem u książąt Radziwiłłów, i dwa inne w Kołodnem u państwa Swiejkowskich, i w Grudku u hrabiego Esterhazego.

Od 1829. do 1831. r. nastąpione jedne po drugich klęski i domowe nieszczęścia, śmierć żony i kilkorga dziatek, znowu wygnały Miklera z domu; wtenczas zaczął podróżować po Podolu. Najdłużéj zatrzymał go Czerniatyn, i znajdujemy ślady pobytu jego w wspaniałym ogrodzie, odpowiadającym piękności gotyckiego zamku. Kolejno odwiedzał Maków panów Raciborowskich, Kurytowce panów Komarów, Serebrzyniec pana Czackiego, Dżurym, w którym pani Hortenzya Sobańska tyle ozdób w tak krótkim czasie stworzyła. W Harmakach u państwa Dembowskich, ozdobił i tak już piękne położenie miejsca; w Sietniczanach przerobił na sposób angielski pozostałe po panu staroście Grocholskim szpalery; w Maliniczach u pana Ludwika Makowieckiego, i w Wodyczkach u pana Zaleskiego gustowne plany zostawił. Nakoniec podjął się przerobienia wielkiego ogrodu hrabiego Bolesława Potockiego w Kowalówce, w którym sławna Greczynka, dla któréj stworzona była Zofijówka, wysypała niegdyś skarby wschodniéj wyobraźni i materyalne skarby, w domu Potockich zebrane.

Od lat kilku przyjeżdżała każdego lata do Krzywina, księżnéj Michałowéj Lubomirskiéj córka, któréj wdzięki uprzejmości tylko wyrównają, ta księżna Teressa Jabłonowska, nad którą piękniejszéj tak dawno w Warszawie nie było. Każdego lata musiał być Mikler w Krzywinie, i wspólnie z księżną Teressą nowe ozdoby do pięknego ogrodu przydawać. Już i córka księżnéj Teressy powróciła do domu Lubomirskich; mąż jéj, książę Marcelli, chciał mieszkanie wiejskie w swoim Dermaniu urządzić; i Mikler, zajmując się stworzeniem nowego zupełnie ogrodu, mimowolnie przypomniał sobie dawne czasy, kiedy przed lat 48, młody natenczas, w ogrodzie babki nowożeńców, w Palestynie, pracował.

Tyle lat oddalały go z Palestyny smutne wspomnienia śmierci! Teraz dopiero w 78. roku życia, a w pięćdziesiątym pobytu swego w kraju, przyjeżdża Mikler do Palestyny na uśilną Lubomirskich prośbę. Jak przyjemne musiało być dla niego złudzenie! Pół wieku wstecz wróciło; on znajduje się w gronie życzliwych sobie osób, w tém samém miejscu, od którego prace swoje rozpoczął. W prawdzie nie ma tu księżnéj Michałowéj; daleko w Warszawie, myślą tylko w tém zgromadzeniu przytomna; ale zastępuje ją córka, a w tém zamięszaniu dat i epok, nieodżałowanego księcia Kaźimierza, synowiec Marcelli, przypomina!

Sprawiedliwie należał się Miklerowi ten jubileusz uczuć serca i zasłużonego życia. Pod wpływem słodkiego wzruszenia przyjechał on do Czarnego Ostrowia na Podolu, i tam mógł rozwijać nowe, szczęśliwe myśli po nad wspaniałą wodą, wśród starych drzew ogrodu, który sześćdziesięcioletną pamiątkę założenia swojego przez Maryą z Mostowskich Przezdziecką odrodzeniem obchodził. Nie mogły być obojętne dla Miklera piękne brzegi Teterowa, i w Korosteszowie także jubileuszowy rok jego pamiątkę zostawi.

Nie zupełnie wyliczyliśmy prace Miklera; ileż innych pomniejszych ogrodów ręka jego ozdobiła, których niezatrzymała pamięć! Oby wiele innych jeszcze piękności na ziemi naszéj stworzył! A wtenczas trwalsze pióro nowe prace jego opisze, i powtarzając historyą jego życia, odda stóletniemu już starcowi hołd zasłużonéj wdzięczności!

Do Jana Omiecińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Przed Laurą nietajono téj wieści; myślano,

że to ją uleczy z miłości. — O nie, tak się nie stało; ona słowem, łzą, przy ludziach niepokazała swojéj rozpaczy, tylko padła rodzicom do nóg i póty błagała, póty z klęczk niewstała, póki jéj rodzice niepozwolili wejść do zakonu.

Od tego czasu o Robercie niesłyszano, a Laura została zakonnicą. Serce jéj kochające, tak namiętnie pokochało Boga, jak kochało Roberta. I siostry zakonu i wszyscy ludzie za błogosławioną ją mieli. Choć taka młoda i taka piękna, po latach kilku została przełożoną nad szpitalem. Miasto się nią chlubiło, rodzice nią chlubili; a niebyło chorego, niebyło ubogiego, żeby wdzięczném sercem niewznosił modłów do Boga o jéj błogosławieństwo, o jéj szczęście.

I ona zdawała się być szczęśliwą; o! musiała nią być; niewidziano nigdy na jéj twarzy tęsknéj chmurki smutku, tylko pokorę miłości ku Bogu, tylko poświęcenie się miłości ku bliźnim.

Tak było aż do niedawnego czasu. Piętnaście dni temu do Annonay przyszedł z Hiszpanii mnich pielgrzym, z włosiennicą na ciele, z krzyżem na piersiach; o jałmużnie tę drogę odbył, i chciał tu u nas założyć dom schronienia i pokuty. Biskup go przyjął mile, i duchowieństwo mile przyjęło, a lud bogobojny postanowił wesprzeć jego zamiary.

Mnich, znużony trudami i cierpieniem, zachorował, i szukał schronienia w szpitalu panien zakonnic. Ośm dni tam leżał, i wszyscy powiadają, że ile razy weszła siostra Rozalia, tyle razy on wzrok od niéj odwracał; udawał albo śpiącego, albo cierpiącego, a na jéj słowa niedawał żadnéj odpowiedzi.

Po ośmiu dniach wstał z łoża, cierpiący jeszcze, ale już niechciał chorować; kiedy żegnał przełożonę, ona spojrzała na niego, pobladła a nawet zadrzała. O, jéj serce litosne bolało nad cierpieniem bliźniego, i zalękło się. Mnich spuścił oczy w ziemię, i wymawiał jakieś słowa w nieznanym języku, zapewne pacierz po hiszpańsku, jak dziś mówią, że słyszano te słowa: „teraz albo nigdy!“ — Zostawił worek skórzany w szpitalu, a sam odszedł.

Szóstego Kwietnia u nas uroczystość wielka, rocznica założenia naszéj katedry. Mnich pielgrzym uprosił, aby mógł tę całą noc przebyć w kościele, dziękczyć Bogu za ozdrowienie, i prosić o jego łaski. Przypadek zdarzył, że jedna stara niewiasta z Annonay zasnęła w kościele, i dziad kościelny zamknął ją tam.

Kiedy się przebudziła, zalękła się mocno, widząc się samą jedną w oświeconym kościele; ale ten strach jeszcze się zdwoił, kiedy ujrzała mnicha pielgrzyma, niemodlącego się, ale wysłuchującego, czy niema nikogo, i rozpatrującego do koła, nie mniszym, ale sokolim okiem. Strach milczenie rzucił na usta, przytuliła się do kazalnicy, i ukradkiem patrzyła na mnicha.

On dobył siekierę z za pasa, i rozbijał karbonki, obnażał ołtarze ze srebra i ze złota, i tak pracował, jakby miał siły i zdrowia za dziesięciu ludzi. Staruszka zapewnie mocnym strachem tknięta, kiedy się mnich od niéj odwrócił, wymknęła się z kościoła, i w zakrystyi dała wiedzieć kościelnemu stróżowi, co się dzieje.

I dziesięciu minut nieupłynęło, jak żandarmi uwiadomieni wpadli do kościoła i zastali mnicha, leżącego krzyżem na podłodze, ale w rogu ołtarza były porabowane rzeczy i siekiera. Mnich porwany przez żandarmów, niezapierał się czynu, tylko powiedział:

„Jam Robert z Annonay. Jutro, pojutrze może byłbym szczęśliwym, a teraz — róbcie waszą powinność.“

W szpitalu, w skórzanym worze, znaleziono noże i inne narzędzia rozbójnicze. Prokurator jeneralny kazał stawić się przed siebie siostrze Rozalii. Ona wyznała, że przy odchodzie mnicha ze szpitala poznała w nim Roberta, od wielu lat po raz pierwszy. — Ze łzami w oczach, błagalnym głosem, prosiła sprawiedliwości o niesprawiedliwość, prosiła o wolność, o życie dla kochanka.

Robert wyznał, że zamiarem jego było zabrać skarby kościelne, porwać Laurę, i uciec z nią w dalekie, w obce kraje.

Jeden z żandarmów przypatrywał się pilnie rysom twarzy Roberta i zawołał: „To jest herszt rozbójników Republiki! mam jego opisanie.“

Wydobył papier, czytał, i przypatrywał się.

Robert zmarszczył czoło. — „Tak, tak, jam zbójca, jam herszt zbójców; ale nikogo wam niezabiłem; chciałem złota, bo dziś w złocie tylko szczęście.“

Darmo go wypytywano o jego towarzyszy; milczeniem i pogardą odpowiedział na zapytania.

Żandarm, jakby z przypadku, a onito wypsnąć się mimowolnie słówka dobrze umieją; wspomniał o jarze górali w lesie Republiki. Robert zmienił twarz, ale to tylko na mig jeden oka, i znowu przybrał oblicze ponure, zadumane.

Ale u żandarma liśi wzrok do wykradzenia tajemnicy, i jak ją wykradnie, to się z nią niebawi; w lot chwyta jéj owoc; ze swoimi wyskoczył i na koń.

Siostra Rozalia, wolna od wszelkiego posądzenia ze strony sprawiedliwości i świata, ale niewolna od smutku i rozpaczy; weszła do rodzicielskiego domu, nie ulgę szukać rozkrwawionemu sercu, bo tylko Bóg mógł dać tę ulgę; ale aby popatrzyć na matkę, na ten dom, gdzie dziecinna błogość przeleciała dla niéj jak błyskawica nieba. I wtenczas, kiedy na te wspomnienia łza rzewna z oka poczęła płynąć, usłyszała brzęki kajdan i krzyki ludu: „„to zbójce Roberta!““

Widziałeś, co się stało.

(Dokończenie nastąpi.)